

Bajka szkocka.

Przybysz ku końcowi stycznia 1918 roku do Bolonii. dowiedzieliśmy się, że parowiec, mający odpłynąć w stronę Folkstone, podnieście kotwicę z kilkogodzinnem opóźnieniem.

Był to w owe czasy operacyjnej nieprzyjaźni, najeżonych mnóstwem zasadzek wodnych, lądowych czy powietrznych, normalny bieg rzeczy i zwykły los podróżnych.

Mgła gęsta, lodowata, zdradzieckich sił pełna — osaczała miasto i port.

Schroniwszy się do hotelu o szczelnie zamkniętych okiennicach, skupiliśmy się wokoło skąpych ognia na kominkach i marnych świateł w kinkietach.

Przypadek zdarzył, iż do mego stolika przysiadł się rudy i kościsty kapitan szkocki. Przedstawiliśmy się sobie z energicznym brzękiem ostróg i bardziej energicznym jeszcze „Shake-hand“ czytając: uściskiem dłoni.

Szkot, władający poprawną francuszczyzną, użył jej przedewszystkiem dla zdobycia za wysoką cenę przemysłowego oryginalnego „whisky“, które wypiliśmy we dwóch bez sody!

Przy tej szlachetnej butelczynie nasłuchałem się pięknych, pełnych poezji i melanchołji historyj, legend i bajek szkockich, z których poniższa o głębokim sensie moralnym utkwiła mi szczególnie w pamięci.

* * *

Stary lord, pan na zamku „Linne“ czując zbliżający się koniec, wezwał do siebie swego syna jedynaka, rozmiłowanego w grze, ucztach i kobietach młodego hulaka. Wiadomo wszystkim było, że w jego rekach starożytny zamek klanu i olbrzymie pole gruntu ze stuletnimi lasami nie ostoja się długo.

— Przysięgnij na krzyż — rozkazał stary dziedzic swemu spadkobiercy — że cokolwiek się stanie, nie wyzbędziesz się nigdy małej chaty, leśniczówki stojącej w głębi boru. Kiedy bowiem cały świat zwróci się przeciwko tobie, pod tą ubogą strzechą znajdziesz przytułek i wiernego — ostatniego przyjaciela... Oto klucz: miej go zawsze przy sobie.

— Zgoda na wiernego przyjaciela — przemknęło młodzieńszkowi przez myśl i złożył na krzyż żądaną przez ojca przysięgę, postanawiając sobie w duszy dochować słowa święcie i przechowywać ową ubogą chatę od mchu, oplataną bluszczem, okrążoną ząbionym żywopłotem z kolców, zroszli i jeżyn, jak zamieszoną kurzem i pajęczyną butelkę starego wina francuskiego, ani myśląc wszakże zająć kiedykolwiek do niej.

Kiedy stary dziedzic „Linne“ zamknął oczy na wieki, młody lord oplakawszy szczerą ręką ojca, jał rzucił się na własny rachunek. Nigdy jeszcze nie widziano takich

zabaw, uczt i hulanków w zamku. Magnacka siedziba wrzała życiem dniami i nocą. Pochodnie i kagańce świeciły na zmianę ze słońcem. Piękne damy i wielcy panowie z dziesięciu okolicznych hrabstw nie opuszczali omal pałacu „Linne“ na skutek czego młody gospodarz zmuszony był uciec się niejednokrotnie do kiesy swego intendenta, Johna des Scales, który równie oddany jemu jak jego ojcu, okradał jednego i drugiego na potęgę.

Pan zawiadawca gotów zawsze usłużyć swemu młodemu pracodawcy, nie oszczędził mu złota na każde zażądanie, zbierając wzmianki podpisy, których lekkomyślny rozrutnik nie skąpił, kładąc swą herbową pieczęć na każdym podsunętym mu przez Johna des Scales papierze.

Po trzech latach takiej gospodarki wypadało pewnego pięknego dnia młodemu lordowi odstąpić rodowe swe dziedzictwo, dumie klanu intendentowi Johnowi des Scales. Nie zapomniawszy wszakże o przysiędze danej na krzyż ojcu, wymówił sobie zatrzymanie na własność zapadłej w borze leśniczówki, narażając się na kaskady śmiechu i grad sprośnych drwin obecnych przy tranzakcji.

Podczas kiedy John des Scales objawczy we władanie zamek „Linne“ grał rolę magnata redukując bądź co bądź skalę wydatków, żona zaś jego, napuszczona, gruba i jak ćwikła czerwona jejmość udawała „lady“, były dziedzic wielkopańskiej fortuny puściwszy ostatniego „penny“ w całonocnej hulance, z sercem równie co i usta pełnem gorzkości wspominał o swej chacie.

— Ach! — jęknął — ojciec przewidział moje szaleństwo! Zachował mi dach nad głową i... przyjaciela podobno! A no! Zobaczmy go!

Poprzez ostre jak brzytwa trawy z trudem dotarłszy do zieloną pleśnią pokrytej leśniczówki, ostatniem cięciem szpadu zerwał zwoje bluszczu, tamujące drogę do drzwi, wy dobył klucz z kieszeni, otworzył chatę i stanął na jej progu, rozglądając się po prostej, pozbawionej mebli izbie o podłodze glinianej; w której pośrodku stał stółek, z sufitu zaś zwieszał się nad nim grubo powróz, zakończony pętlą z wetkniętą weń kartką pergaminu:

Młody lord zbliżywszy się do sznura, wyjął z pętli papier i przeczytał co następuje:

„Twój ostatni przyjaciel“

— Ha! Ojciec miał słusność! — szepnął lekkomyślny rozrutnik — nie pozostaje mi nic innego...

I nawykły w grze do zarówno szybkich jak bezpowrotnych decyzji, stanął na stołku, powiększył pętlę, wsadził w nią głowę i rzucił się w wieczność.

Ocknął się w postawie siedzącej, na glinianej podłodze, w obłoku pyłu i gruzach. Sznur bowiem pociągnął za sobą sufit.

Coś zabrzęczało spadając wraz ze szczytami kamiennymi. Niedośłyca samobójca spójrzył: na ziemi leżał klucz z przywiązaną do niego kartką pergaminu, z której młody

lord dowiedział się o znajdującej się w chacie skrytce ze skarbem.

Któż opisze głębokie wrażenie, jakie wszystkie te w piorunującym tempie dące po sobie wypadki wywarły na młodzieńszku! Jak błogosławił pamięć ojca, czuwającego nad nim z za grobu! Dojrzał moralnie, powstał pełen męskich postanowień.

Przewiązawszy dwanaście kiesi złota wokoło swego rzemieennego pasa wolnym krokiem ruszył do zamku „Linne“, gdzie John des Scales podejmował przednich gości. Stuzba rozstała się przed młodym lordem, zebrane towarzystwo natomiast, w którym brali udział niejedni z jego „przyjaciół“, wypróżniających przed niedawnym czasem piwnice jego i spiżarnie, trzębiących jelenie jego i daniele, zajężdżających na śmierć jego rumaki — zaledwie naci spojrzęło.

— Nie mógłbyś pan dać mi trochę... zaczął młody lord półgłosem, zbliżywszy się do Johna.

— Ha! Ha! Ha! — przerwał mu były intendent głośno. — Nie do twarzy ci, jasnie pamięć, z żebrzącą miną. Prosisz o pieniądze? Na to, by roztrwonić je? W karty przegrać?

— Widzieliśmy pana przy robocie! dała pani des Scales szyderczo.

— Nie wtrącaj się! — burknął mąż na nią i, zwracając się do młodego lorda, dodał:

— Jeśli pan głodny jednakże...

— Licz na mnie, przyjacielu! — przerwał mu jeden z młodych baronetów, podchodząc i kładąc dłoń młodemu lordowi na ramię, podczas gdy ten, pełen gniewu, wymawiał intendentowi zrobienie majątku jego kosztem.

— Ależ pańskie dobra są ruiną dla mnie! — obruszył się John des Scales. — Zniewolony byłem do ich kupna! Gotów jestem odstąpić posiadłości te wraz z zamkiem o sto gwinej taniej, aniżeli nabyłem je!

— O sto gwinej taniej? — spytał młody lord z niedowierzaniem.

— Tak jest. O sto gwinej taniej! Jak powiedziałem. Słowo honoru daję!

— Biorę was za świadków, panowie! — odezwał się młody lord do obecnych, wyjmując trzos po trzosie za pasa i wyliczając przed oczyma struchlałego intendenta i osłupiałych jego gości żądaną sumę na stół.

John des Scales zgarnął rad nie rad pieniądze i poszedł jak zmyty szykować się do opuszczenia zamku, podczas gdy godna jego połowica darła z rozpaczony włosy na głowie.

Młody lord, ściskając dłoń młodego baroneta, dumnym wzrokiem głowy klanu objął swe rodowe dziedzictwo i uśmiech szczęścia opromienił szlachetne jego rysy: oto jest znowu panem swych rozległych włości, których strzec odtąd będzie jak oka gości, których strzec odtąd będzie jak oka go nie fortunnie swojej, lecz samemu sobie!

Plum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VII.

Niedziela, 8 czerwca 1930 roku.

24

Zjazd polskich towarzystw śpiewaczych.



W dniu 1 czerwca r. b. odbył się w Łodzi licznie reprezentowany zjazd wojewódzki polskich stowarzyszeń śpiewaczych. Uczestniczyło w zjeździe około 1500 osób. Na zdjęciu powyższym widzimy liczną delegację towarzystw śpiewaczych z całego województwa łódzkiego ze sztandarami przed katedrą św. Stanisława Kostki. Fot. A. Meyer, tel. 108-81

TEATRALJA.

„Słaba pleć“ — Jubileusz Stanisławy Wysockiej i Ignacego Dygasa. — Drobiazgi teatralne.

Bohaterką komedji Bourdeta, wystawianej ostatnio w warszawskim Teatrze Polskim jest, jak to wskazuje tytuł, „słaba pleć“. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że ta pleć słaba, tak jak to było dawniej, są kobiety; czasy się, proszę państwa, zmieniły gruntownie i dzisiaj od tego miana mają prawo właśnie... mężczyźni. Tego stara się dowiedzieć w sposób dosyć drastyczny autor „Pleci słabej“, a trzeba przyznać, że na obrany przezeń odcinku argumenty, które operuje, świadczą nieźle o słuszności założenia. Akcja „Słabej pleci“, rozgrywająca się w jakimś wielkim, kosmopolitycznym hotelu paryskim, składa się niemal wyłącznie z epizodów polowania bogatych kobiet na mężczyzn, młodych, silnych i przystojnych, którzy mogliby z powodzeniem pełnić funkcje nie tylko mężów, ale — kochanków. Jako najbardziej zasobne w pieniądze, prym w tej gonitwie, za mężczyznami wiodą bogate Amerykanki; nie ustępują im jednak w dzisiejszych pojęciach o „słabej pleci“, jej roli, wadach i zaletach ani francuskie hrabiny, ani wysoko urodzone damy hiszpańskie, przywożące na targ paryski... swych zdrowych i pięknych synalzków. Komedja pełna jest aforyzmów w rodzaju np. takich: „Mężczyzna przed wojną też dużo kosztował, ale przynajmniej zdarzali się szlachetni awanturnicy“, — zaś barwy swej brutalnej fotografii zgęszcza Bourdet tak dalece, że nawet kilkuletniemu chłopcu każe się pójść bawić z rówieśniczką dopiero wówczas, gdy dziewczynka ofiaruje malcowi... pięć franków.

Srodowisko, które ukazał Bourdet w swej komedji w sposób tak ostry i bezwzględny, jest naprawdę odrażające i zdala cuchnące zgnilizną. Gdy nawet 50 proc. tej komedjowej rzeczywistości złożyć na karb autorskiej przesady i hiperbolicznie - satyrycznych tendencji oraz zwykłego na scenie powiększenia realnych proporcji, pozostałe 50 proc. starczą w zupełności, by

wzbudzić we wrażliwszym widzu głęboki wstręt do tego międzynarodowego świata tytułów i pieniędzy, w którym dzieją się sprawy brudne i ohydne, w którym efronterja erotyczna święci swe cyniczne triumfy... Na czoło wykonawców komedji Bourdet'a, którą uważać należy przedewszystkiem za niezmiernie charakterystyczny sygnum temporis, wysunęli się pp. Maszyński, doskonały w ironicznie-rezonerkiej roli kelnera Antoniego, powiernika, pośrednika i totumfackiego wszystkich tych Bourdet'owskich figur, — Grabowski, Panczewiczowa-Leszczyńska, Czaplinska i Sulima.

W tych dniach Teatr Polski w Poznaniu święcił podniosłą uroczystość — 35-lecie pracy scenicznej znakomitej aktorki, Stanisławy Wysockiej. Swą karierę aktorską rozpoczęła Wysocka w r. 1895 w objazdowej trupie Dobrzańskiego i Puchniewskiego, z którą udała się w podróż do Petersburga, Moskwy i Rygi; w zespole tym dzisiejsza jubilatka grywała role naiwnych. Po paru latach pobytu w Lublinie i Warszawie zaangażowała się Wysocka pod dyrekcję Rygięra do Poznania, gdzie odkryła swe właściwe powołanie. Od r. 1899 zaczęła grać na scenie krakowskiej, za dyrekcji Kotarbińskiego, i tu dopiero potężny, tragiczny talent Stanisławy Wysockiej zaczął się jarzyć wspaniałym światłem (Matka w „Beatrice Cenci“, Jewdocha w „Sędziach“; Pallas Atene w „Nocy Listopadowej“, szereg ról Ibsenowskich etc.) Później, pracowała jubilatka w Warszawie (Teatr Polski dr. Żymana) prowadziła teatr w Lublinie itd. Ostatnie dwa lata przeżywała Wysocka w Poznaniu, pracując w Teatrze Polskim jako aktorka i reżyserka, stwarzając szereg świetnych kreacji aktorskich i szereg niemiędlonych doskonałych inscenizacji. Na jubileusz Wysockiej, który stał się wielkim wydarzeniem artystycznym nie tylko dla Poznania, wystawiono klasyczną już dziś komedję Paillerona p. t. „Świat nudów“, w reży-

serji zasłużonej jubilatki. Otrzymała ona w dniu swego święta bardzo liczne i serdeczne wyrazy uznania od sfer oficjalnych, teatralnych, literackich prasy itd., a publiczność poznańska, która należycie ocenia wielki talent i rzetelną zasługę artystyczną Wysockiej, zgotowała solenizantce gorącą i długotrwałą owację.

Jednocześnie niemal z jubileuszem Wysockiej w Poznaniu, święcono na scenie Teatru Wielkiego w Warszawie uroczystość 25-lecia działalności artystycznej Ignacego Dygasa, najpierwszego dziś bezwątpienia wśród śpiewaków polskich. Dygas debutował w r. 1905 w operze warszawskiej, jako Jontek w „Halce“, a debiut ten w całej prasie wywołał prawdziwy entuzjazm. — Zaangażowany następnie do opery stołecznej, wyjechał Dygas za zgodą dyrekcji do Włoch, gdzie śpiewał w teatrze „Regio“ w Turynie, zaś później w innych, odnosząc wszędzie ogromne sukcesy. Prócz scen włoskich, poznały Dygasa sceny hiszpańskie i południowo-amerykańskie, na których roztaczał czar swego głosu, z których wieścił światu sławę polskiego artysty. Lata wojenne spędził Dygas w Moskwie i Petersburgu, początkowo jako świetny solista opery Cesarskiej. Powróciwszy w r. 1918 do kraju, Dygas pozostaje już na stałe w Warszawie, urządzając tylko od czasu do czasu krótkie ekskursje artystyczne zagranicę. Za dyrekcji Emila Młynarskiego, był Dygas profesorem śpiewu w konserwatorium warszawskim. Jednym z najbardziej ujmujących, choć bynajmniej nie zawodowych rysów kariery śpiewaczej Dygasa jest jego gorące przywiązanie do kraju i sceny polskiej przywiązanie, którego osłabić nie zdoła kuszająca moc dolarów, funtów i zagranicznych zaszczytów. Wszyscy niemal mówcy, skłádający Dygasowi długim korowodem hołd w dniu jubileuszu, podkreślali właśnie fakt, że znakomity śpiewak kraj swój i rodaków stawia zawsze na pierwszym planie i swoim, a nie obcym, pragnie z duszy śpiewać

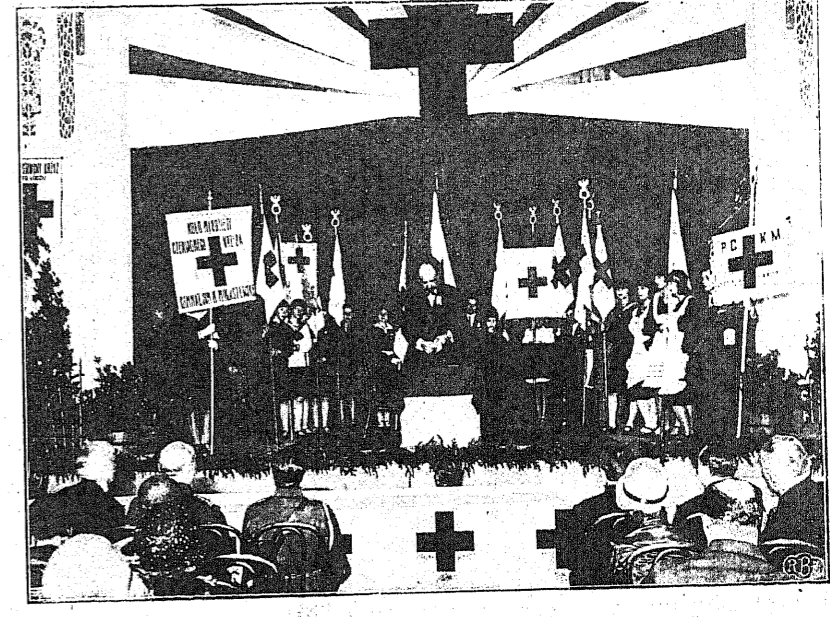
Delta.



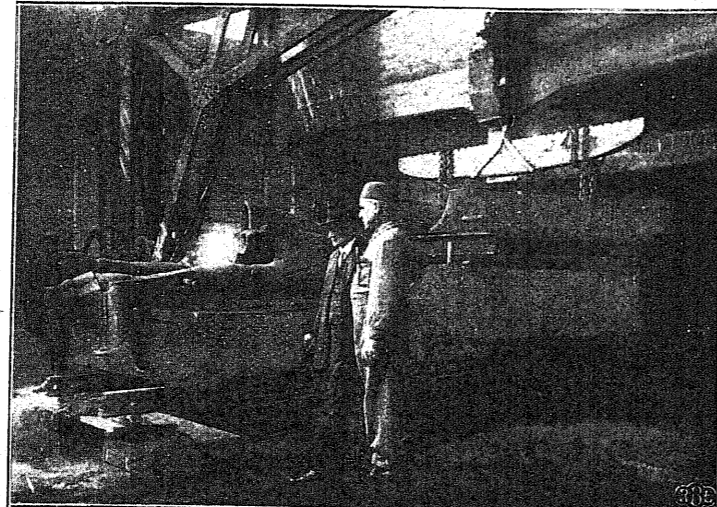
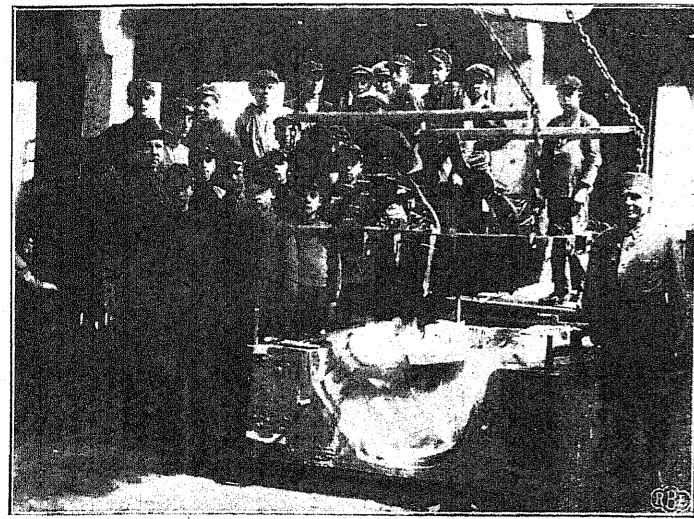
W dniu 1-ym czerwca r. b. Koło Związku Pracowników Kolejowych w Łodzi święciło podniosłą uroczystość. W dniu tym odbyło się w Katedrze poświęcenie nowoufundowanego sztandaru Związku. Na zdjęciu widzimy uczestników uroczystości z nowym sztandarem. Obok p. wojewoda Jaszczolt i przedstawiciele władz przed katedrą.



W dniu 9 b. m. święci 15-letni jubileusz owocnej dla kraju i społeczeństwa pracy publicystycznej i 10-letni jubileusz na stanowisku redaktora naczelnego „Kurjera Łódzkiego“ p. Czesław Gumkowski, długoletni prezes Syndykatu Dziennikarzy w Łodzi.



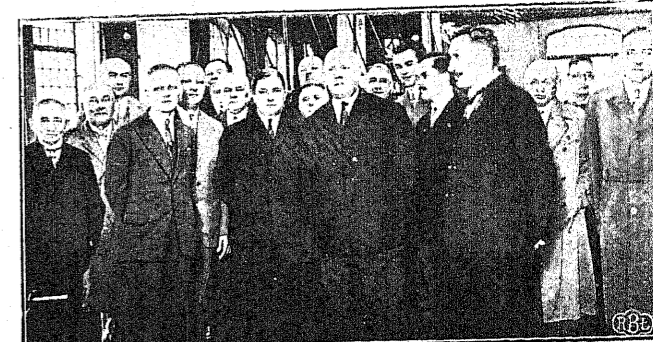
Kto nie zna Polskiego Czerwonego Krzyża, tej wielce humanitarnej i samarytańskiej placówki w Łodzi, pozostającej na usługach cierpiących. Instytucja ta zorganizowała Tydzień P. C. K., którego inauguracja odbyła się w dniu 1 czerwca r. b. Z tej okazji Polski Czerwony Krzyż udekorował najwyższą odznaką I-ej klasy b. długoletniego członka zarządu dyr. Leona Gajewicza. Na zdjęciach widzimy od strony lewej fragment z aktu udekorowania dyr. Gajewicza, na prawo zaś fragment z akademii czerwono-krzyżskiej.



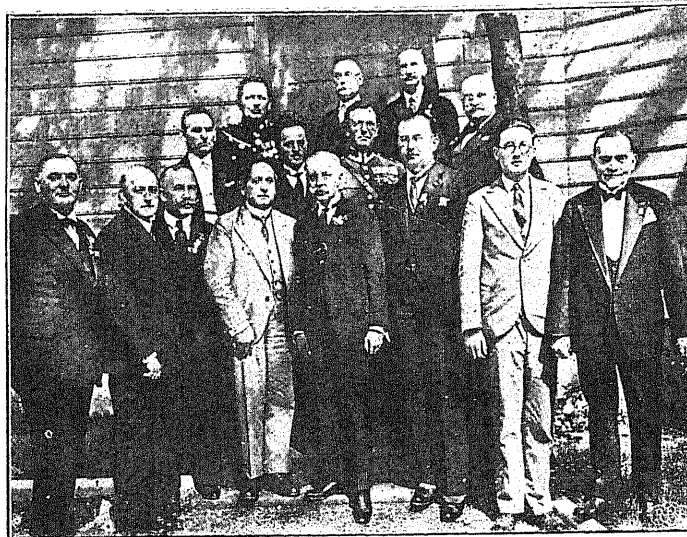
W Pabjanicach istnieje Szkoła Rzemiosł, kształcąca liczne szeregi młodzieży na uzdolnionych fachowców. Dyrektorem Szkoły tej jest inż. Tymieniecki. Na szczególną uwagę zasługuje odlewnia szkoły, pozostająca pod kierownictwem inż. Wagnera. W odlewni tej powstaje wspaniały pomnik Tadeusza Kościuszki. Na zdjęciach widzimy od strony lewej odlewnię i uczniów Szkoły, na prawo zaś oddział Szkoły z inż.: Tymienieckim i Wagnerem.



Liczna grupa młodzieży, biorącej udział w Tygodniu Polskiego Czerwonego Krzyża oraz w akademii w Domu Ludowym.



Wycieczka przedstawicieli władz z wojewodą Jaszczoltem do Państwowej Szkoły Włókienniczej w Łodzi.



Liczna grupa prezesów wszystkich towarzystw śpiewaczych, biorących udział w zjeździe, jaki się odbył w Łodzi w ubiegłym tygodniu.



Prócz zabaw dla szkół powszechnych okazała swą sprawność, demonstrując szereg pięknych pokazów gimnastycznych jak powyżej.



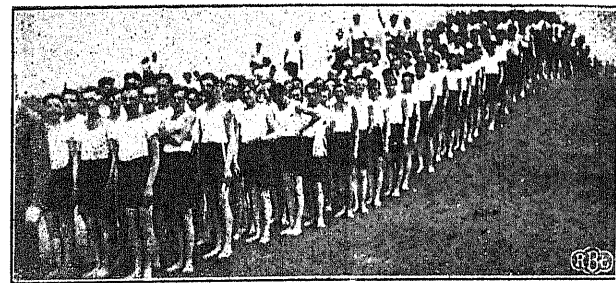
Popisy gimnastyczne, biegi, skoki i t. p. zawody obserwowały na boisku D. O. K. w Łodzi liczne rzesze publiczności. Powyżej przemasz drużyn żeńskich.



Trybuna sędziowska na boisku D. O. K. w czasie zawodów sportowych młodzieży w „Dniu Dziecka”.



„Dzień Dziecka” w Łodzi był świętem wesela i radości. Dzieci i młodzież zaległa place gier i zabaw, jak to widzimy powyżej.



Niemniej pięknie i wzorowo wywiązała się ze swych zadań młodzież męska, której długi i kręty wąż przewinął się przez boiska sportowe w Łodzi.



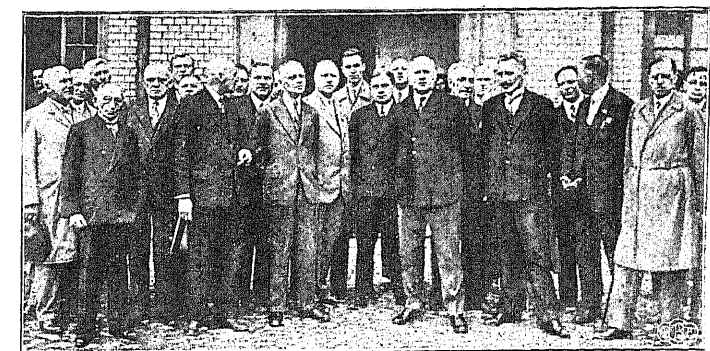
Ćwiczebne drużyny żeńskie młodzieży szkół powszechnych maszerujące na boisku DOK w „Dniu Dziecka”.



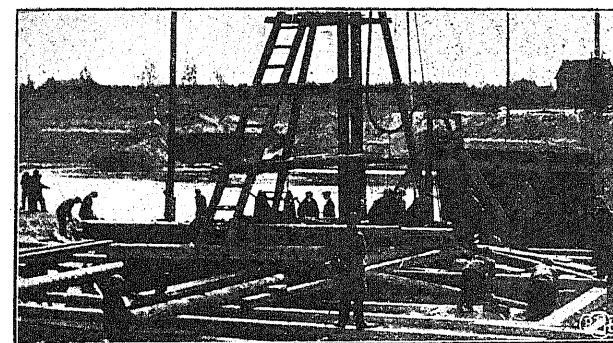
W ub. tygodniu odbyła się wielka artystyczna impreza wło-senna, zorganizowana przez Tow. Śpiew. Harfa i Komitet orkiestry kameralnej prof. Wacława Guttmeyera. Na zdjęciu Komitet organizacyjny.



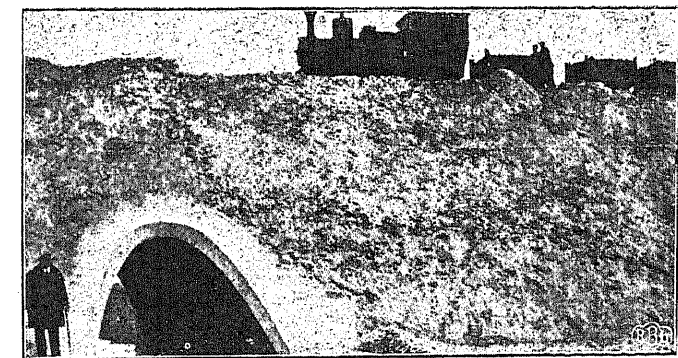
Zespół chóru katedralnego na koncercie orkiestry prof. Guttmeyera, który odbył się w tygodniu ubiegłym w Łodzi.



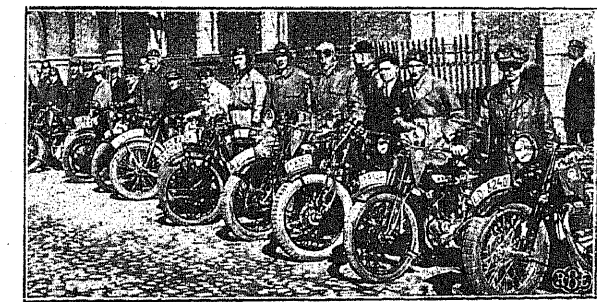
Wycieczka przedstawicieli władz z p. wojewodą Jaszczoltem na czele w Państwowej Szkole Włókienniczej w Łodzi.



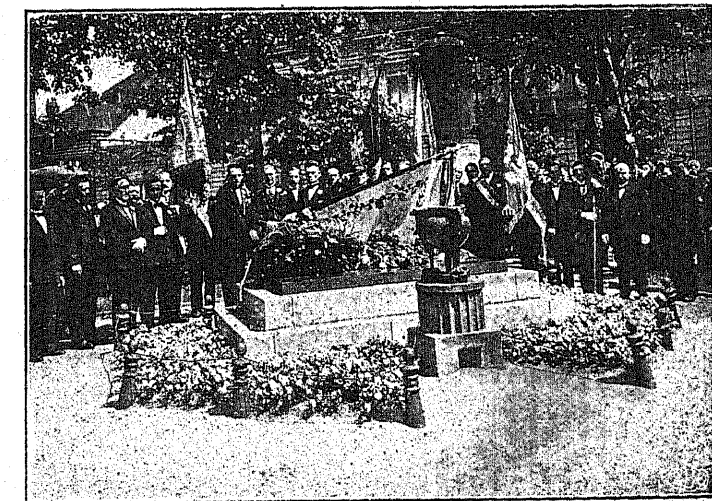
W Kaliszu odbywają się prace około budowy mostu nad rzeczką Widawką, dopływem rzeki Warty. Powyżej widzimy dwa fragmenty wykonywanych robót.



W ubiegłym tygodniu odbyła się w Łodzi uroczystość otwarcia nowej placówki sportowej. Jest nią Łódzkie Towarzystwo Motocyklistów, z siedzibą przy ul. Piotrkowskiej 174. Na zdjęciach widzimy członków rzeczono-go klubu.



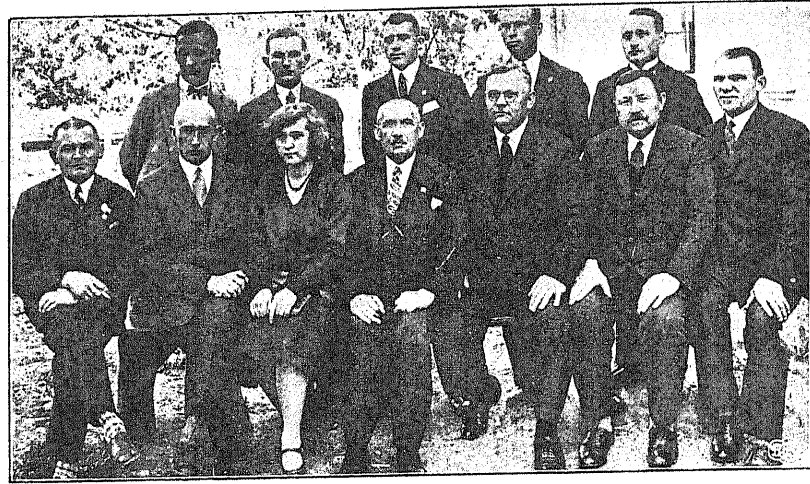
Nagroda ufundowana przez zawodową szkołę kierowców samochodowych F. Gretkiewicza. Zdobył ją p. A. Gębalski na samochodzie „Whippet”.



Delegacja i poczet chorągwiowy Zw. Kolejarzy w dniu poświęcenia nowego sztandaru przy płycie Nieznanego Żołnierza.



P. Karol Pihaj, przemysłowiec łódzki, honorowy prezes klubu sportowego „Orkan” w Łodzi.



Zarząd kl. sport. „Orkan”, który dziś święci 5-letni jubileusz, z t. prezesem p. R. Gogolewskim na czele. Siedzą od strony lewej pp. Gardychowski, B. Kowalski, Marzałkowska, Szymczak (członek honorowy), Gogolewski, Kowalski F., Krauze (przewodniczący komisji rewizyjnej). Stoją od lewej pp.: Rendecki, Blicharski, Miller, Błasiak i Kałużny.



Pierwsza drużyna piłkarska kl. sportowego „Orkan” w Łodzi, której kierownikiem w roku bieżącym jest kapitan Owczarek.



P. Adam Trojanowski, organizator i dyrektor Państwowej Szkoły Włókienniczej w Łodzi, gorliwy krzewiciel wiedzy tekstylnej.



Wioslarstwo wykracza w okres sezonu. W okresie lata otwiera się przed tym rodzajem sportu rozległe pole do pracy. Na zdjęciu powyższym widzimy najstarszą ósemkę wiosłarskiego świata — wiosłarzy Lyonu.



Czteroletni prezes klubu sportowego „Orkan” w Łodzi, p. Bolesław Kowalski, nauczyciel szkoły powszechnej Nr. 6. W okresie swego prezostwa podniósł on działalność klubu do najwyższego poziomu.



W Hucie Dłutowskiej, gminy Dłutów odbyła się podniosła uroczystość poświęcenia kaplicy pod wezwaniem św. Florjana, patrona Straży Ogniowej. W uroczystości tej wzięli udział liczni przedstawiciele władz, duchowieństwa, organizacji, zrzeszeń społecznych i straży ogniowej. Na zdjęciu widzimy grupę uczestników uroczystości poświęcenia kaplicy.



Fronton Kaplicy św. Florjana w Hucie Dłutowskiej. Na zdjęciu widzimy fragment z poświęcenia kaplicy i odczytania aktu erekcyjnego.



Jan Kiepura przed mikrofonem Polskiego Radja. Obok kierownik literacki Polskiego Radja p. Maksymilian Weronicz. Potężny śpiew Jana Kiepury nadawany przez radio słyszała cała Polska.



We wsi Wygielzów, powiatu łaskiego odbył się bezpłatny kurs szycia, kroju, haftu i cerowania. Kurs cieszył się dużą frekwencją uczniów. Powyżej zespół uczennic kursu z miejscowym księdzem proboszczem na czele.



Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej w Łodzi, Gdańska 111, urządziło dla młodzieży rekolekcje, których zakończenie nastąpiło w siedzibie Stowarzyszenia w obecności J. E. ks. biskupa dr. K. Tomczaka. Na zdjęciu liczna grupa młodzieży żeńskiej.



Zespół uczniów grupy graficznej Miejskiej Szkoły Zawodowej Doksztalującej Nr. 7 na wycieczce w Pabjanicach. Powyżej uczestnicy wycieczki na terenach fabryki Kindlera.

URLOP.

Urlop Jerzego dobiegał końca. Trzy zgórą tygodnie spędził w tem drogiem mu miasteczku tyrolskim, w starożytnym zamku, który przywykł zarówno dziś jak w czasie pokoju uważać za najmilsze sobie ognisko domowe.

Długie trzy lata dzieliły go od chwili, kiedy w taki sam promienny dzień październikowy wchłaniał w piersi ten mocny, ostry i przenikliwy zapach jesieni, bijący ze zmęczonej rodzeniem gleby, skoszonych łąk usychających winnic i mieniących się barwami leśnych gąszczy.

Trzy nieskończone długie lata nie cieszył się krajobrazem, roztaczającym się z okien zamku przed jego rozmiłowanym w ojczyściej ziemi okiem: wijącej się drożyny, przez wąski mostek, wiodącej w górę do rodzinnego gniazda jego serdecznego przyjaciela, toru kolejowego biegnącego w dolinie ku południowym krajom i żeńskiego klasztoru, bielejącego wśród zleleń na wysokim skarpie górskiej.

Jakże tęsknił za tym skrawkiem Tyrolu, tulając się po obcych stronach! Z jaką radością powitał go, zjechawszy na urlop! Miał wrażenie, że wrócił do ukochanej, która nie robiąc mu wymówek za jego długą nieobecność, przyjęła go z otwartymi rękoma, szczęśliwa, że znów są razem!

Jutro już wciągnie ponownie swój płaszcz żołnierski, by po trzech dniach podróży przez góry, doliny i równie wrócić do towarzyszy z obozowego życia.

Wsunawszy do kieszeni list, który nadszedł pod jego adresem do zamku, gwiazdą wszy na psa, zatrząskując bramę za sobą, ruszył pod górę na ostatni spacer do lasu; sam, przyjaciel jego bowiem miał wrócić z Bożen dopiero późnym wieczorem.

Wspiąwszy się wysoko, zgrzany i zmęczony usiadł na lesistem wzgórzu, skąd oko ogarniało całą okolice. Ach! Jutro już pozguci ten ukochany zakątek świata, w który wrócił przez ubiegłe trzy tygodnie znów korzeniem!

Zerwał się z miejsca, by wrócić do zamku, dla zwalczania opanowującej go wówczas nostalgii, zagrzebać się w jakiejś ciekawej książce, gdy przypomniał sobie o liście, wyjął go z kieszeni kurtki, i przyjrzał się koperce uważnie.

List, wysłany z Luchichu opatrzony był licznymi stemplami. Przewędrowawszy z kilku urzędów pocztowych, trafił wreszcie do adresata. Charakter pisma obcy...

Wyjawszy z koperty ćwiartkę zapisanego papieru, Jerzy rzucił okiem na podpis i zamyślił się głęboko.

Tak! Pamiętał imię to. Pół roku upłynęło od czasu, kiedy znaczyło „coś“ dla niego. Na wiosnę bawiąc w Belgradzie udał się z przyjacielem pierwszego zaraz wieczora do teatru variete, gdzie tancerka o znanem nazwisku, osiemnastoletnia Bianka, zaproszona na szereg gościnnych występów, wprawiała alabastrem obnażonych swych ramion i mózek zarówno jak i z ar-

tyzmem graniczącym tańcem w nieklamany zachwyty publiczność.

Przyjaciel Jerzego Ryszard, oczarowany, zawarłszy po przedstawieniu znajomość z tancerką, zaprosił ją na kolację, w której wzięła udział oprócz Jerzego, rodzina Bianki, to jest ojciec nieokreślonego wieku i podejrzanej dystynkcji wraz ze starszą córką Lizą, niepozorną na pierwszy rzut oka i prawie że nieładną panną o ciemnej cerze, oczach i włosach — istnem przeciwieństwem jasnowłosej i białoliczej artystki.

Oczywista rzecz, że Jerzy z Ryszardem spędzali odtańca wszystkie wieczory w Variete, po przedstawieniu zaś na wspólnej kolacji z coraz większym gronem wielbicieli talentu i urody Bianki.

Osobliwym zbiegiem okoliczności Jerzy siedział przy stole stałe obok Lizy, która bawiła go opowiadaniem bez końca o ukochanej siostrze Biance, jej dzieciństwie, spędzonym w Paryżu w charakterze uczennicy wielkiej opery, o podróżach do Italji, Anglji, Moskwy, Petersburga i powrocie do Zachodniej Europy przez Szwecję.

Bianka była żywicielką rodziny, podczas gdy ona, Liza, prowadziła dom, regulowała rachunki hotelowe, zawierała umowy z dyrekcjami teatrów, ubierała, fryzowała i rozbierała siostrę, nieznoszącą gardetobiany przy sobie i szyla kostjumy nawet dla niej.

— Czemu Bianka nie podoba się panu? — spytała nagle Liza, przerywając opowiadanie pewnego wieczora.

— Ależ bardzo! — zaprzeczył Jerzy zdziwiony — jest wspaniałą tancerką na estradzie i zachwycająca, najnaturalniejszą w świecie osobką poza sceną.

— Dlaczegoż więc pan mnie asystuje, nie jej?

— Ona i tak jest otoczona, a przytem pani podoba mi się więcej, panno Lizo!

— Nie jesteś pan szczery! — odparła ze śmiechem, uderzając mnie po rękę — powiedz raczej, że nie chcesz mieć rywala!

— Bynajmniej! — podchwycił Jerzy gorąco — pani nie tylko podoba mi się, ale interesuje mnie przytem. Psychika panny Bianki jako tancerki, czyli kobiety oddanej swemu zawodowi, mniej więcej prostolinijna zatem, jest zrozumiała dla mnie, podczas gdy pani wpatrzona jak w cudowny obraz w swą siostrę, zmiatającą prochy przed nią, zamiast pomyśleć o sobie... swojej przyszłości, wyjść zamaż, mieć ognisko domowe, dzieci — pani jest dla mnie zagadką!

— Wyjść zamaż?... — powtórzyła Liza otwierając szeroko oczy — cóżby Bianka zrobiła bez mnie?

— Otóż to właśnie! Pani myśli o niej wyłącznie. A jeśli panna Bianka porzuci pewnego pięknego dnia scenę, wyjdzie zamaż, czy też inaczej pokieruje swem życiem?... Pani bardzo nierozważnie postępuje, poświęcając jej swe młode, bezpowrotne lata!

— Pan nie kocha Bianki!...

— Oczywiście, że nie! Czy to konieczne?

— Naturalnie, że nie! — roześmiała się

— ale ja muszę kochać ją! Nie wyobrażam sobie życia bez niej.

Jerzy zamilkł, wzruszywszy ramionami. Mimo tę rozmowę wszakże lgnął coraz silniej do Lizy, zyskującej bardzo przy bliższym poznaniu i będącej pierwszą kobietą, dla której serce jego zabiło.

To też kiedy Bianka po dwóch tygodniach gościnnych występów miała opuścić z rodziną Belgrad, Jerzy postanowił rozmówić się z Lizą poważnie.

Wiosna była w pełnym rozkwicie. Po ostatnim przedstawieniu w Variete zebrało się na pożegnalną ucztę w prywatnem mieszkaniu Ryszarda i Jerzego.

Po kolacji Jerzy zaprowadził Lizę w głąb ogrodu oświetlonego różnobarwnemi lampionami. Usiedli na niskim murze. Promień księżycy padał na smagłą twarz panny czyniąc ją piękną niemal. Jerzy ująwszy jej dłoń w swoje ręce i patrząc w oczy głęboko oświadczył, że pragnie pojąć ją za żonę.

Liza, pochylwszy ku niemu zarumienioną twarz, przycisnęła wargi do jego policzków, oczu i ust, poczem zapatrzona w piękno tej wiosennej nocy odezwała się cicho:

— Przebac mi, jeżeli zachowaniem swym upoważniłam cię do tych oświadczeń... Ja nie mogę opuścić Bianki, by zostać twoją żoną!

Milcząc, wrócili do towarzystwa. Nazajutrz wieczorem obaj przyjaciele stali na peronie pociągu pośpiesznego, mającego zawieźć Biankę i Lizę z ich zagadkowym ojcem do Budapesztu. Podczas kiedy Ryszard żegnał się czule z Bianką, Jerzy nie odstępował Lizy, ściskając jej rękę nerwowo, ona zaś patrzyła mu w oczy serdecznie i przyjaźnie. Niehawem wagnęły ruszyły. Oficerowie udali się ze spuszczonej głowami do kasyna, gdzie milczący, chmurni i na wszystko głusi, zasiedli przy piwie. Ryszard tylko wymyślał raz po raz kelnerce, jeśli kufel jego stał zbyt długo pusty.

Liza pisała, że pragnęłaby zobaczyć się z Jerzym... Ma żywo w pamięci pobyt w Belgradzie... Poróżniła się z Bianką... Goto wa jest, gdyby Jerzy...

Młody wojskowy przetrzął dłońmi czoło. Ach! Między ową wiosną na obczyźnie, a tą cudowną jesienią tyrolską leży przestrzeń czasu o wiele dłuższa chyba, aniżeli pół roku, skoro uczucie dla Lizy mogło zatrzeć się w jego sercu bez śladu! Jak on mógł myśleć nawet o związaniu swego życia z przygodnie spotkaną kobietą niewiadomego pochodzenia i wątpliwej moralności? — Smutno mu, zapewne, że list Lizy nie więcej zaważył w jego sercu, co zwiędły liść kasztana, który spadając na ziemię, musnął jego dłoń, ale on stoi teraz na pewnym gruncie: te trzy tygodnie urlopu spędzone w rodzinnej ziemi rozpalili w nim zagaśnię we włóczędce po obcych krajach miłość ojczyzny, która mu będzie odtańca puklerzem ze stała przeciwko awanturniczemu planom

Tłum. Jotsaw.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VII.

Niedziela, 15 czerwca 1930 roku.

25

Zjazd psychjatrów w Łodzi.



W dniach 7 i 8 odbył się w Łodzi zjazd psychjatrów, w obradach którego wzięli udział liczni przedstawiciele świata naukowego całej Polski. Obrady odbywały się w salach Rady Miejskiej. Wygłoszono szereg poważnych referatów naukowych. W ostatnim dniu zjazdu uczestnicy jego odbyli kilka wycieczek do zakładów psychiatrycznych i szpitala dla chorych umysłowo. Na zdjęciu powyższem widzimy grupę uczestników zjazdu.

Fot. A. Meyer, tel. 108-81